

# Kronika tygodniowa

Jakoś szczęśliwie udało się nam przeżyć i koniec świata i święta Bożego Narodzenia i koniec roku. Życie zaczyna powoli wchodzić na zwykłe tory, dają się bowiem odczuwać te same kłopoty i braki, które dokuczały nam w roku poprzednim, z tą jedynie różnicą, że powtarzają się trzydziestą sześć razy.

Możemy zatem rzucić okiem poza siebie, aby sobie przypomnieć wrażeń z drugiej połowy grudnia, kiedy to nasze nerwy były w takim napięciu, że prosto nie mogliśmy się zdecydować na to, o czym myśleć, do czego się przygotować, co ważniejsze.

Jednym koncem świata zabił w głowę takiego klina, że zrezygnowali zupełnie ze świąt, bo i pociąg się do nich przygotowywać i wydawać napróżne pieniądze, skoro to wszystko pójdzie na marne, inna znova kpili sobie z owego końca świata, myśląc tylko o tem, jakie będą święta, czy magistrat postara się o ryby i na ile koren wypadnie kilogram. Jedynie pewnem było zakończenie roku, które, jak zwykle, przypadło na dzień 31. grudnia, w którym św. Sylwester obchodził swe imieniny.

Co było z końcem świata wie każdy. Od 17. grudnia przez dłużej z rzędu oczekiwaliśmy na napróżno, a dzień 21. grudnia (niedziela) był dniem ogólnej radości.

Obudziwszy się rano w Krakowie w zimnym, bo nieopalanym pokoju, a nie w dziurze słonecznej doszliśmy do przekonania, że pan Porta się omylił i musieliśmy przyznać rację komunikatowi krakowskiego obserwatorium, które przestrzegało przed zbytecznem przejmowaniem się amerykańskimi przepowiedniami.

Było wprawdzie w dniu 17. grudnia trochę więcej mrozu, niż zwykle, ale się też i na tem skończyło. A i mróz dingo nie trwał, a to dzięki Weronice, mającej nań radykalny środek zaradczy, który, jak sama powiada (a ja potwierdzam...) nigdy nie zawodzi. Należy tylko policzyć dwunastu tysiąch, a mróz dyabli wezmą. I tak się też stało, bo w sobotę mieliśmy już odwilż, ciesząc się przecież nadzieją, że w myśl zapowiedzi św. Barbary Boże Narodzenie będzie „po lodzie“.

Jak się jednak w dalszym ciągu pokazało, zawiodła w tym roku (jak zresztą czyni to już od lat kilka!) i św. Barbara.

W Davos spadły wprawdzie ogromne śniegi, a lawina zasypała kilka domów, gdzieś tam nawet pociąg koalicyjny utknął w śniegu, a na Atlantyku byli wiatry, ale to nie wystarcza. Najważniejszy punkt programu, to jest trzęsienie ziemi, odpadł, choć próba, urządzona w dniu 28. listopada w Kalabrii, wypadła bez zarzutu.

Koniec świata zrobił zatem *flasco* i okazał się zwykłym amerykańskim humbkiem, podobnie jak i wiele innych, pochodzących stamtąd zapewnień i informacji, o czym zresztą poprzednio już wspominałem.

Radowano się więc ogólnie w dniu 21. grudnia, to jest gdy zapowiedziany czas krytyczny minął, zakładając tylko, że nie jest jeszcze uruchomiona fabryka polskich wódek w Podgórzu, aby można było popić z radości, ale też i na frasunek, bo święta za pasem, a z powodu końca świata prawie nikt się do nich należycie nie przygotował.

Na te przygotowania został załedwie poniedziałek i wtorek, na środę przypadała wigilia.

Magistrat, pewny, że koniec świata będzie, nie postarał się na czas o ryby, nie też dziwnego, że derewno przeprowadzone kupno było i niewystarczające i po cenach dość wygórowanych, choć potem ogłoszono całą litanię wydatków z tem połączonych.

Aby się na przyszłość od tego uchronić, a wiadomo, że święta Bożego Narodzenia przypadają co roku, byłoby wskazaniem, aby ludność uchronić od wyzysku spekulantów, czyhających na każdą taką sposobność, postarać się o własne hodowle ryb. Mamy już kamieniolomy w Miękinii, kopalnie węgla w Jaworznie, dlaczego nie mieliśmy mieć i własnych stawów z rybkami?... Projekt ten poprzę z pewnością i „neutralni“ radcy miejscy, mając w ten sposób zapewnioną na każdy piątek dostawę „z urzędu“.

Cena rybek wahała się w tym roku między czterdziestu i kilkunastu koronami a siedmiedziestoma za kilogram, nie też w tem dziwnego, że na taki wydatek mógł sobie pozwolić tylko bardzo zamożny, to jest paskarz lub dostawca. Zwykły śmiertelnik nie mógł sobie pozwolić w dzień wigilijny nawet na zwykłego marynowanego śledzia, kazano bowiem za sztukę płacić osm koron. Nawet we wojennym czasie neutralne śledzie nie były tak drogie.

zupełnie taki sam kłopot miały gospodynie z pieczywem wszelkiego rodzaju, od opłatków począwszy na)

które kościołni nie dostali maki...), a na struchlach skończywszy.

Ale pokazało się, że się można bardzo wygodnie obejść smakiem, kogo nie stać na kupienie w pasku maki, cukru, masła i jaj, które przed świętami doszły do niebywalej ceny.

Na Rynku były i drzewka, wydano na nie nawet taryfę maksymalną, której handlarze przestrzegali zupełnie tak, jak nasi krakowscy dorożkarze taryfy śląskie. Nie mając bodaj stu koron na wyrzucenie nie było się po co wybierać na Rynek po drzewko.

A choćby się je nawet i kupiło, co na alem wieścić?... Chyba samemu powieścić się z radości, że tak się wszystko poprawia.

Szóstka zatem wigilia od czasu wybuchu wojny była bardzo smutna, skończyła się bowiem na wspomnieniu dawnych, lepszych czasów, kiedy to można było sobie pozwolić na karpia z szarym sosem szczupaka z jajami, lina smażonego, strucle i inne smakołyki, sporządzone według przepisów ś. p. Cwilerakiewiczowej, należących dziś do „Bajek z tysiąca i jednej nocy“.

Nawet ci szczęśliwcy, którzy bezpośrednio przed świętami otrzymali trzydziestą pensję miesięczną, mieli dość rzadkie miny, pokazało się, bowiem że ta kwota na urządzenie wigilijnego wieczoru na kilka osób nie wystarczy.

Dałby Bóg, aby od tam każdego rok miał trzydziestą miesięczną, zwłaszcza zaś 1920., który, jako przestępny, jest o jeden dzień dłuższy od zwyczajnego. Zato miesiąc można skrócić!

Kronikarzowi pozwoliła Weronika w dzień wigilijny udać się w południe do miasta, wyznaczając mu na ten cel łaskawie kredyt w wysokości dziesięciu koron i upominając, by się zabawił „przystojnie“.

Użyła w samej rzeczy tego wyrażenia, aby tam dać do zrozumienia, że nie powinienem przekroczyć miary w jedzeniu i picu, bo nie zdawała sobie sprawy, że dziś z dziesięciu koronami niema się co i wybierać do publicznej jadłodalni.

Minęły bezpowrotnie te czasy, kiedy to, będąc posiadaczem dziesięciokoronowego banknotu, można było spożyć przyzwolity ebiadek, podiany butelczyną wina i zostało jeszcze na czarną kawę i powrót dorożką do domu.

Dziś mając dziesięć koron, a nie rozporządzając jakimiś kasowymi rezerwami, można zadowolić co najwyżej oko, ucho i powonienie, ale nigdy smaku.

Zamąłem sobie też głowę nad tem, na co obrócić owe dziesięć koron, które mi Weronika łaskawie wyasygnowała raczya i doszedłem wkońcu do przekonania, że jeżeli sobie pozwolę na śledzia, nie wystarczy na niezbędne do niego dodatki. Śledź jest rybą, a ryba, jak wiadomo, potrzebuje wina, nie mając bowiem w czem pływać, tłucze się po żółdian i może człowieka przyprawić o chorobę.

A chorować dalsz się nie opłaci, gdyż kosztuje to zbyt wiele!

Skończyło się na kiellsaku wódeczki (pięć koron) i tak zwanej „kanapce z bryndzą i sardynką“ (cztery korony i pięćdziesiąt halercy).

I ani się oglądnąłem, a dziesięciokoronówki już nie było, apetyt zaś i pragnienie zaczynały się dopiero upominać o swe prawa.

W pierwszej chwili miałem zamiar dziesięć koron schować na gorsze czasy i, pomimo odwilży i dzierawych batów, pójść na przechadzkę, odwiódł mnie przecież od tego zamiaru jeden ze znajomych, twierdząc, że kto ma korony, niech je wyda na gwałt, albowiem nowy minister skarbu, pan Grabski, wypowiedział im wojnę i kosztem ich posiadaczy dąży do podniesienia wartości polskiej marki oraz unifikacji waluty.

Głoszone, że każdy, kto ma bodaj dziesięć koron, musi je złożyć w państwowej Kasie pożyczkowej, gdzie o ile będzie potrzebował monety, otrzyma zaliczkę w markach, po siedmiedziestu fenigów za koronę.

Aby i mnie to nie spotkało, wołałem wydać od ręki moje dziesięć koron. Później dopiero przekonałem się, że moje obawy były bezpodstawne, wydano bowiem tego rodzaju nakaz, odnoszący się jednak do tych, którzy mają więcej aniżeli dziesięć tysięcy w gotówce. A ja, jak się zdaje, nigdy w tem miłem położeniu się nie znajduję, chyba gdyby zapisał mi co jaki amerykański wujaszek lub „ciepla“ ciocia. Niestety, takich nie posiadam.

Pan Grabski nie zapomnił więc i o Małopolsce, a dowód swej pamięci dał nam w swym gwiazdkowym podarunku, mającym radykalnie wypróżnić nasze kieszenie na korzyść warszawskich spekulantów. Pierwsze kroki nowego ministra, który miał być mądrzejszy nawet od dra Bilińskiego, spotkały się z niezbyt życzliwym przyjęciem ludności byłego zaboru austriackiego.

Z wycieczki mojej wróciłem głodny i spragniony, w domu dostałem załedwie szklankę herbaty z sacharyną i musiałem wysłuchać kazania na temat lekko-

myślenie, że w tak krótkim czasie „przepocowałem“ całe dziesięć koron.

To odebrało mi kumora, będąc zapowiedzią, że mogę się czegoś podobnego spodziewać przez rok cały.

Wieczoru wigilijnego opisywać nie myślę, bo i coś o nim powiem, skoro nie było ani ryb, ani atrucii, ani nie innego, bez czego po inne lata ta rodzinna ucsta obejść się nie mogła. Z czczym żółdkiem udało mi się zatem na spoczynek, słysząc na dobranoc zapewnienie Weroniki, że mi to może wyjść tylko na zdrowie, będę miał bowiem sen spokojny.

Oba dni świąteczne podobne do siebie jak dwie krople wody. Na ulicy mokro i zimno, w domu natomiast sucho i zimno.

— Mój Boże! — pomyślałem sobie — Kiedy też znów wrócą te dobre czasy, że człowiek bodaj w te dni pozwoli sobie na butelczynę jakowejś „wilgotności“ ale nie bieleńskiej!...

Przez oba dni drzwi się prosto nie zamykały, ale to dlatego, ponieważ nikt ich nie otwierał. Ludziska siedzieli w domu, narzekali na świętą Barbarę, że nas wykiwała (jak to zresztą stale czyni co roku!... przyp. zecera) i przeżuwała... wspomnienia.

We czwartek odwiedziłem jednego z moich politycznych przyjaciół, który prosił mnie, abym do niego „wpadł we święta“. Widocznie nie brał słów swych na serio, zdziwił się bowiem, gdy mnie u siebie zobaczył, przyjął mnie przecież ze staropolską gościnnością. Cekał na mnie nawet z obiadem, co trzeba rozumieć w ten sposób, że zasiadł do stołu dopiero po mem odejściu.

Wspominając o pogodzie, muszę stanąć w obronie św. Bronisławy, którą meteorologiczny sprawozdawca *Kuryerka* podlega do odpowiedzialności za świąteczną odwilż. Owa temu nie jest wiana z pogodą, nie ma nic wspólnego, narzekania zaś w tym kierunku należy zwracać pod adresem św. Barbary.

Ale nie tylko św. Barbara zawiodła!... Nie dopisał także i św. Jan Ewangelista, w którego imieniny można się było napić bodaj święcennego wina w kościele. Kto miał dobre nogi, mógł oblecieć kilka kościołów i tyknąć sobie tu i tam. W tym roku nie! i z tego!

Pod sam koniec roku zabrał się natomiast do nas mrozik i to wcale niegorszy, taki sobie przedwojenny, prawdopodobnie dlatego, aby mieć tem większą fantazję na noc Sylwestrową, na którą zapowiedziano cały szereg rozmaitych rozrywek, ale tylko dla tych, co to, dzięki wojnie, wypchali swe portfele i proszą Pana Boga, aby normalne warunki nigdy już nie wróciły, bo to w mętnej wodzie zawsze łatwiej łapać rybki.

I w „Sylwestra“ siedział się więc w domu, ale Kraków *ni fama tati* bawił się wybornie. Restauracje i kawiarnie były pełne, większość przecież bawiących się stanowili ci, którzy Nowy Rok obchodzą we wrześniu, a nie w styczniu. Być może, że w ten sposób chcą dać dowód swej neutralności.

Sam dzień Nowego Roku nie różnił się niczem od zwykłego dnia powszedniego. Gratulantów mniej niż po inne lata, przez cały rok zarabiają bowiem tyle, iż, jak się jeden z nich wyraził, „nie opłaci się nawet fatygować po tę głupią koronę i strząpić gębę po próśnicy...“

I miał rację. Jeśli porównam moje dochody z dochodami stróża kamienicznego, który jest prócz tego i węglarzem, twierdząc zupełnie seryje, że nie ja jemu, lecz on mnie powinien w ten dzień „wsadzić coś w łapę...“

Nie zapomniat natomiast o mnie gospodarz i zjawił się, ale tylko po to, aby zawiadomić, że ponieważ magistrat ma zamiar w niedługim czasie nałożyć na kamieniczników nowe ciężary, on, jako przewidujący, dziś już podnosi czynsze lakatorom, co, jeśli chcą, mogą uważać za noworoczny podarunek.

I rozpoczęliśmy znów zwykłe borykanie się z losem, ciesząc się nadzieją, że przecież kiedyś będzie lepiej.

Ale kiedy?... Na to odpowiedzieć mógłby prorok, a nie kronikarz, nie umiejący czytać w kartach przyszłości. Bo, że się i losowi raz sprykrzy i że się odmieni, o tem niema dwu zdań. rozchodził się przecież o to, aby się to stało jak najrychlej, byśmy wrócili do owych szczęśliwych czasów, kiedy to „ziocista, wonna i słodka strucla świąteczna“, na której cześć pan *Haef* śpiewa prozą hymn w *Kuryerku*, będzie nie miatem tylko i wspomnieniem, lecz rzeczywistością!...

Sytuacja polityczna jest stale niejasna, zwłaszcza o ile to dotyczy spraw wschodnich. Zapowiadają nam jakieś niespodzianki ze strony bolszewików, którzy podobno przygotowują się do wielkiej ofensywy na całym polskim froncie. Dałby Bóg, aby już raz urwał łeb tej czerwonej hydrze, a wtedy odetchniemy spokojniej, z nami zaś cała Europa, którą wyprowadzają z równowagi „wschodnie wiatry“, przed którymi musimy ją zasłaniać.